

PIERWSZA KOLUMNA

W tym miesiącu przypadają rocznice związane z dwiema wielkimi rewolucjami europejskimi: październikową, która rozpoczęła się w listopadzie (październik wg starego stylu), oraz francuską, która skończyła się listopadowym zamachem stanu.

To już zatem od co najmniej dwustu lat społeczeństwa europejskie świadomie prą do wolności. Ale czyż efektem tego nie jest aby najbardziej rozwinięty, najbardziej zuchwały i posiadający największe jak dotąd uprawnienia aparat państwowy? Brzmi to paradoksalnie, tym bardziej że przywykliśmy sądzić, iż to właśnie nam, obywatelom zglobalizowanego świata XXI wieku, wolno więcej niż wszystkim minionym pokoleniom. Wszak to właśnie my cieszymy się powszechnym prawem wyborczym, czyli przywilejem stanowienia małej części suwerena, w praktyce sprowadzającym się do tego, że, skreślając tego lub owego w wyborach, możemy raz na jakiś czas współdecydować o tym, w jakim kierunku i z jaką siłą powinna się zwrócić machina redystrybucji.

Niemniej angielski satyryk John Wolcot, piszący pod pseudonimem Peter Pindar, powiada, że „(...) jednakże poddaństwo cechuje niewolnika, który pracuje i niewolnika, który głośuje”. I choć stwierdzenie to jest niewątpliwie bluźnierstwem wobec demokratycznego kredo, to wolność rzeczywiście polega na czymś zupełnie innym niż tylko na mniej lub bardziej urojonym współuczestnictwie w suwerenności ogółu społeczeństwa nad poszczególnymi jednostkami.

Jak pisze Bertrand de Jouvenel, wolność jest „bezpośrednią, natychmiastową i konkretną suwerennością człowieka nad nim samym, stanem, który upoważnia i jednocześnie zobowiązuje go do rozwinięcia własnej osobowości, daje mu władanie nad własnym losem oraz czyni odpowiedzialnym za własne uczynki zarówno przed sąsiadem, który posiada dokładnie takie samo prawo – na tym polega sprawiedliwość – jak i przed Bogiem, którego intencje albo wypełnia, albo lekceważy”. Współuczestnictwo w sprawowaniu władzy samo przez się nie ma więc nic wspólnego z wolnością. Jest

SPIS RZECZY

Idee	str. 2
Karol Lew Pogorzelski – <i>Pochwała nierówności</i>	str. 2
Romuald Gozdawski – <i>Czy w solidarnym państwie jest miejsce na solidarne społeczeństwo?...</i>	str. 6
Kultura	str. 9
Karol Lew Pogorzelski – „ <i>Trzy kolory</i> ”: <i>Kieślowski o wolności, równości i braterstwie</i>	str. 9
Miscellanea	str. 10
Erik Maria von Kuehnelt-Leddihn – <i>Jakobineum</i>	str. 10

Copyright © 2006
by Fundacja Instytut
im. Ludwiga von Misesa

Redaktor naczelny:
Juliusz Jabłecki

**Zastępca redaktora
naczelnego:**
Karol Lew Pogorzelski

Redaktor techniczny:
Mikołaj Barczentewicz

Laissez Faire ukazuje się jako miesięcznik. Poglądy prezentowane przez autorów nie muszą się pokrywać ze stanowiskiem Instytutu Misesa.

www.mises.pl
mises@mises.pl

Ten numer *Laissez Faire* ukazał się dzięki pomocy Pana Dariusza Szumiło. Dziękujemy Pani Annie Szymanowskiej za pomoc w korekcie tekstów.

Listy do redakcji oraz propozycje artykułów prosimy przysyłać na adres: redakcja@mises.pl.

jedynie środkiem, którym – z większym lub mniejszym powodzeniem – może się posłużyć człowiek do ochrony własnej wolności.

Nasuwa się jednak pytanie, jak doszło do tego, że w cieniu europejskich dążeń do wolności – rewolucji, zrywów niepodległościowych i wojen – ta oczywista prawda znikła ludziom niemal zupełnie z pola widzenia? Dlaczego tak zażarcie walczone o tę w gruncie rzeczy niepewną i ulotną gwarancję swobody, jaką jest powszechne prawo wyborcze? Dlaczego w zamian za nie społeczeństwa Europy pozwoliły na taką ekspansję aparatu państwowego, o której

żaden z absolutnych monarchów nie mógł nawet marzyć? Jak to się stało, że wystarczy dziś karta do głosowania, aby nie oburzał nas przymus ubezpieczenia społecznego? Na pytania te nie ma zapewne prostych odpowiedzi, ale być może istota rzeczy wiąże się z tym, że zmiany systemowe, które miały przynieść ludziom wolność, inicjowane były zwykle przez większość i służyły przede wszystkim jej interesom. Większość zaś – jak nieco cynicznie zauważył Mark Twain – zawsze jest w błędzie.

Juliusz Jabłecki
redaktor naczelny

Idee

Pochwała nierówności

Karol Lew Pogorzelski

Wszelki ruch bierze się z pewnego rodzaju nierówności. Prąd elektryczny pojawia się tylko tam, gdzie istnieje napięcie, czyli różnica potencjałów. Przyciąganie magnetyczne działa jedynie między przeciwnymi biegunami. Kulka potoczy się, jeśli coś wytrąci ją ze stanu równowagi. Podobnie jest w przypadku społeczeństwa i jednostki.

Nierówności majątkowe są motorem życia i rozwoju gospodarki. Rozwój moralny człowieka jest możliwy dzięki nierównowadze między świętym a łotrem. Dobro wspólne każdego narodu zależy od istnienia i jakości elit, jakie ów naród posiada. Podstawą dobrobytu społecznego jest więc także swego rodzaju nierówność.

Konieczność nierówności w rzeczywistości moralnej

Złudność egalitaryzmu moralnego ilustruje następująca historia. Oto w jednym z amerykańskich więzień telewizja sfilmowała spotkanie więźnia z matką. Wzruszające sceny wywołały wielką sympatię widzów. Następnego dnia redakcja miejscowego dziennika dostała list od kobiety, która informowała, że ów więzień zgwałcił i zamordował jej ośmioletnią córeczkę. Napisała:

„Nade mną i nad moim dzieckiem nikt się nie litował – litość macie tylko dla mordercy”.

Widać stąd jak bardzo doktryna egalitaryzmu moralnego kłóci się z podstawowymi intuicjami co do sprawiedliwości, winy oraz zasługi. Moralna nierówność między ludźmi jest faktem, i to faktem powszechnie akceptowanym, choć przeczą temu wyrafinowane uzasadnienia filozofów.

Wyraźne, by tak rzec nietolerancyjne, rozróżnienie między dobrem, złem, winą i zasługą, świętym a łotrem jest konieczne, ażeby mogła istnieć jakakolwiek moralność. Jeśli chcemy, by ludzie stawali się lepsi, musimy pokazać im te dwie przeciwstawne perspektywy, chociaż dziś owo przeciwstawienie staje się coraz mniej wyraziste. Ilustrują to dobrze zmiany znaczeniowe słów „norma” i „normalność”. W średniowieczu za normę uznawano wzór. Jeśli mówiono o normach postępowania, miano na myśli pewne idealne zasady działania. W konsekwencji za osobę normalną uznawano świętego – osobę, która postępuje zgodnie z normami. Współcześnie „normalność” jest synonimem „przeciętności”. Za zachowanie normalne uznaje się to, co robią wszyscy, jak choćby kłamanie, ściąganie, czy wyuzdanie. Jeśli to jest norma, to nie ma żadnego powodu, żeby człowiek starał się być lepszy, bo nawet najszlachetniejszy uczynek staje się odchyleniem od normy – dewiacją.

Konieczność nierówności w gospodarce

Zwolennicy idei równości majątkowej twierdzą, że różnice majątkowe między ludźmi są czymś niesprawiedliwym. Dawniej pogląd ten wynikał z mylnego przekonania, że działalność gospodarcza jest grą o sumie zerowej, czyli inny-

mi słowy, jeśli ktoś osiąga zyski, to ktoś inny musi w tym samym czasie cierpieć stratę. Z tej perspektywy każda dochodowa inwestycja okazuje się czymś niemoralnym, gdyż dokonuje się czymś kosztem.

Dzisiaj jednak wiemy, że w gospodarce często mamy do czynienia ze wzrostem gospodarczym, czyli sytuacją, kiedy bogacą się wszyscy obywatele. Nie jest więc tak, że każdy zysk musi się realizować czymś kosztem. Wobec takiego postawienia sprawy zwolennicy równości majątkowej modyfikują swoje pierwotne rygorystyczne twierdzenie, mówiąc że dystrybucja bogactwa między obywateli w gospodarce wolnorynkowej jest niesprawiedliwa. Na czym polega owa dystrybucja? Otóż bogacą się ci, którzy odnieśli sukces gospodarczy, czyli sprzedali swoje dobra i usługi po cenie wyższej niż koszty ich wytworzenia i zarazem po cenie niższej niż konkurenci. Zwolennicy idei równości majątkowej twierdzą, że opisany tu mechanizm premiuje ludzi zaradnych i przedsiębiorczych, tym samym wyłączając poza społeczeństwo szerokie rzesze ludzi nieodznaczających się tymi cechami i skazując ich na biedę. Sytuacja taka jest niemoralna, gdyż dobra tej ziemi są przeznaczone dla wszystkich, więc ci, którzy się bogacą, mają moralny obowiązek podzielić się swoim bogactwem z biednymi. Egzekutorem tego moralnego obowiązku ma stać się państwo – zabierać zyski bogatym i przekazywać je biednym. W obrazie świata zwolenników idei równości majątkowej widoczny jest głęboki antagonizm między przedsiębiorcami a pracownikami i bezrobotnymi. Obie grupy dążą do przeciwnych celów, a bezlitosny mechanizm konkurencji skazuje słabszą z nich na przegraną.

Ten obraz świata jest jednak fałszywy. Pogarda dla słabszych i wyzysk są moralnym złem, ale odpowiedzialni za nie są konkretni ludzie, a nie taki czy inny system społeczno-gospodarczy. Dostrzegł to już papież Leon XIII: „Jest zasadniczym błędem (...) ulegać pogładowi, że dwie klasy są sobie z natury swej przeciwne, tak jakby już sama natura uzbroiła bogatych i proletariat do walki ostatecznej ze sobą”.

Przeciwstawienie się wymienionym zjawiskom polega na kształtowaniu sumień i uczeniu moralności. Uniemożliwienie popełnienia błędu nie jest tożsame z rozwiązaniem problemu. Zwolennicy równości majątkowej twierdzą, że najważniejszym źródłem nierówności i niesprawiedliwości społecznych jest zjawisko zysku konstytuujące wolny rynek. Nie zauważają oni, że zysk oraz nierówności społeczne są konieczne, by utrzymać jakąkolwiek gospodarkę w istnieniu. Jest tak dlatego, że pieniądź pełni w gospodarce nie tylko funkcję środka płatniczego, lecz także funkcję informacyjną. Jeśli przedsiębiorcy osiągną w jakiejś branży wysokie zyski, jest to informacja dla innych przedsiębiorców, że w tę branżę warto inwestować, a jeśli ponoszą straty, to jest to sygnał, który należy odczytywać jako ostrzeżenie przed inwestowaniem. Informacje te są czymś koniecznym, gdyż gospodarka jest w ciągłym ruchu, bo gust i potrzeby konsumentów wciąż się zmieniają. Jedynym mechanizmem pozwalającym producentom dostosować się do swych klientów są właśnie zjawiska zysku i straty.

To oczywiste, że ludzie są niejednakowo utalentowani i przedsiębiorczy. W trakcie nieskrępowanej gry rynkowej owe nierówności muszą po jakimś czasie znaleźć odzwierciedlenie w nierów-

nościach majątkowych, czasem nawet skrajnych. Ludzie różnią się jednak w ocenie tego zjawiska. Jeśli nie godzimy się na nierówności społeczne, to wraz z nierównościami musimy usunąć społeczeństwo. Ludzie nie zechcą współpracować ze sobą, jeżeli nie mogliby, albo nie musieli, czerpać korzyści z tej współpracy. Świadomy tego faktu był Rousseau, który napisał: „Taka bowiem jest prawdziwa przyczyna wszystkich tych różnic. Dziki żyje niejako sam w sobie; człowiek uspołeczniony, zawsze się jakby znajduje poza sobą, umie żyć tylko w opinii drugich i to z ich oceny czerpie całe, chciałoby się powiedzieć, poczucie swego istnienia”.

Podsumujmy: aby mogła funkcjonować i rozwijać się gospodarka, konieczne jest istnienie nierówności majątkowych, które biorą się z wypracowanego przez ludzi zysku, lub też ze strat.

Konieczność nierówności w polityce

Pomyślność każdego społeczeństwa zależy od tego, jaką wytworzy ono elitę: kulturalną, naukową, gospodarczą. Ludzie kultury są wyrazicielami wartości, które spajają społeczeństwo, a od mężów stanu zależy w dużej mierze trwanie i rozwój społeczeństw. Liderzy gospodarki tworzą miejsca pracy, organizują produkcję oraz wprowadzają nowe technologie. Ojciec Józef Bocheński pisze: „(...) dobrobyt, postęp a nieraz i samo życie społeczeństwa zależy od tego, czy potrafiło ono wytworzyć dobrą elitę. Społeczeństwo bez elity jest skazane na skostnienie i rychłą śmierć”. Mimo to jednak nie zawsze docenia się znaczenie elit, podkreśla się ich negatywne cechy, jak na przykład pogardzanie masami. Stąd, do elitarności przyznaje się niewielu i niewielu do niej aspiruje. Prof.

Legutko przytacza następującą historię: „Niedawno byłem uczestnikiem spotkania z wyselekcjonowaną grupą młodzieży studenckiej, reprezentującą bez wątpienia szczyty wiedzy, inteligencji i możliwości rozwojowych tego środowiska. Gdy jednak gospodarz spotkania, wybitny przedstawiciel życia akademickiego, powiedział do owych młodych ludzi, iż są elitą, pojawiły się liczne i donośne głosy protestu. Nie jesteśmy elitą, bo elit nie ma – odpowiedzieli”.

Dawniej wytwarzaniu, podtrzymywaniu i umacnianiu elit miało służyć prawo, które faworyzowałoby najlepszych. W gospodarce miały dominować gildie gwarantujące wysoką jakość wyrobów zrzeszonych w niej rzemieślników, a także gwarantujące im godziwe wynagrodzenie za swoją pracę. Podobnie funkcjonować miało prawne uprzywilejowanie arystokracji zapewniając tej grupie swobodę kulturowania obyczajów, wspierania wysokiej sztuki, a także możliwość dobrego sprawowania władzy.

Rzeczywistość jednak, jak to nie rzadko bywa, rozmija się z teorią, gdyż wszystkie elity po jakimś czasie kostnieją. O ich przetrwaniu decyduje często otwartość na nowych ludzi – nowych reprezentantów. Nie zawsze jest to jednak w interesie tej klasy. Uprzywilejowanie prawne ułatwia hermetyzm elit, a w następstwie ich stopniową erozję. Tak oto gildie stały się monopolami uniemożliwiającymi wejście do zawodu nowym, konkurencyjnym przedsiębiorcom, arystokracja zaś przestała pełnić rolę czynnika dynamizującego społeczeństwo, marginalizując znaczenie nowych elit – mieszczańskich.

W reakcji na te niekorzystne zjawiska zrodziła się idea równości wobec prawa, w myśl której żaden człowiek nie po-

winien być przez nie faworyzowany. W szczególności uznano, że udział we władzy powinien mieć każdy dorosły członek społeczeństwa. Powinno być więc tak, że utalentowany człowiek, nawet jeśli pochodzi z nizin społecznych uzyska szansę wybitcia się, a przynajmniej nie będzie się natykał na sztuczne przeszkody. W efekcie końcowym mogłoby to skutkować zmianami w obrębie elit i ich odmłodzeniem.

W istocie, jak zauważa C.S. Lewis, owa słuszna idea równości wobec prawa często wynaturza się w domaganie się równości na innych polach niż prawo, w myśl zasady: „jestem równie dobry, jak Ty”. Przejawia się to w zjawisku politycznej poprawności, która domaga się, by każdą postawę szanować, tolerować a w żadnym wypadku oceniać. Przybiera to nieraz absurdalne formy, jak na przykład obowiązek odprowadzania podatku dochodowego od emerytury, która jest przecież świadczeniem państwowym. Swego czasu profesor Jerzy Osiatyński uzasadniał to tym, że emeryci czuliby się gorsi, gdyby nie odprowadzali podatków tak jak wszyscy obywatele.

Zasadę „Jestem równie dobry, jak Ty” trzeba uznać za samoobalającą, gdyż nikt, kto ją wyznaje, nie może wierzyć we własne słowa. Jest tak dlatego, że prawdziwe poczucie własnej wartości nie potrzebuje słownych potwierdzeń i powszechnej akceptacji. Dama nie domaga się, by uznano, że jest równa prostytutce, a król strzelców nie żąda potwierdzenia tego, że jest równy fajtlapie. Rozprzestrzenienie się zasady „jestem równie dobry, jak Ty” przynosi zatrważające efekty, gdyż społeczność przesiąknięta jej duchem nie toleruje ludzi wybijających się i nieprzeciętnych, czyli elit. Utrudnia tym samym ich wytworzenie i odnawianie się. Ci zaś, którzy swoimi

talentami i cechami charakteru wybijają się ponad przeciętność, będą traktowani z rezerwą i podejrzliwością. W efekcie mogą popaść w zarozumialstwo i zdziwaczenie, a w dalszej konsekwencji mogą pogardzać masami, co jakże często piętnuje się jako wadę elit.

Konkluzje

Trudno dziś byłoby znaleźć kogoś, kto negowałby świetlaną ideę równości. Słowo to jednak, podobnie jak inne slogany ma nader mgliste znaczenie i bywa różnie rozumiane. Wynika to stąd, że domagano się równości na różnych polach

ludzkiej aktywności: moralnej, gospodarczej, politycznej i kulturalnej. Wszędzie tam zyskała ona znaczenie jako przeciwstawienie się pewnego rodzaju nierównościom. W zapale zwalczania tych nierówności nie zastanawiano się nad tym, czy przypadkiem nierówności nie odgrywają jakiejś istotnej społecznej roli. Tymczasem są one niezbędne dla prawidłowego funkcjonowania i rozwoju jednostek oraz całych społeczeństw. Nie należy więc walczyć z nimi na oślep, lecz raczej piętnować ich negatywne przejawy.

Czy w solidarnym państwie jest miejsce na solidarne społeczeństwo?

Romuald Gozdawski

Parę lat temu w samym środku mroźnej, śnieżnej zimy w Krynicy Halina L., 34-letnia mieszkanka tego uzdrowiska, miała wyjątkowego pecha – poślizgnęła się schodząc ze skarpy, upadła i straciła przytomność. Stało się to niedaleko domu w którym mieszkała, zaledwie kilka metrów od głównej ulicy. Niewiadomo, dlaczego nie dała rady doczołgać się do domu. Niewiadomo też, dlaczego żaden z przechodniów nie zwrócił na nią uwagi i nie zaoferował pomocy. Wiadomo jednak, że po kilkunastu godzinach na mrozie Halina L. zmarła z wychłodzenia w centrum jedena-stotysięcznego miasta.

Można by przytoczyć wiele podobnych tragicznych historii i choć wszystkie różniłyby się szczegółami, to łączyłoby je jedno: porażająca obojętność na los bliźniego. Znamienne, że po śmierci Haliny L. pojawiał się w mediach komentarz podkreślający, iż tego bezsensownego zdarzenia można było przecież uniknąć, „gdyby tylko policja i samorządy

interweniowały tak, jak należy”. Trudno chyba o bardziej gorzkie słowa oddające straszliwą dewaluację, jakiej uległo w ostatnich czasach pojęcie solidarności międzyludzkiej, a więc braterstwa. Być może przed nadchodzącą zimą, w miesiącu upadku Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która społeczną solidarność uczyniła naczelnym hasłem, warto się

poważnie zastanowić nad tym, co spowodowało tak znaczący zanik troski ludzi o siebie nawzajem.

Nierzadko słyszy się, że za brak solidarności w Polsce należy winić dziką transformację oraz krwiożerczy kapitalizm początku lat 90., które wyzuły ludzi z odruchu troski o bliźniego. Co więcej, to rzekomo niedostateczna obecność państwa w gospodarce sprawia, że zamiast okiełznać rynek, ludzie stają się jego niewolnikami i zaślepieni żądzą zysku nie widzą nic prócz pieniędzy. Ocena ta wydaje się jednak nie do końca sprawiedliwa. Z faktu, że na rynku wszystko przelicza się na pieniądze, nie wynika jeszcze powszechna deprawacja i degradacja człowieczeństwa. Przeciwnie, motyw zysku, który doprowadził do powstania społecznego podziału pracy, a z czasem także do globalnej gospodarki kapitalistycznej, jest odpowiedzialny za to, że firmy, starając się do granic możliwości wykorzystać efekty skali, dostarczają ogromnym rzeszom konsumentów produkty, na jakie jeszcze niedawno stać było tylko nielicznych. Gdyby więc nie wszystkie Wal-Marty, Biedronki i Lidle (którymi tak gardzą postępowi lewacy), los ludzi ubogich byłby znacznie cięższy. Podział pracy – na którym opiera się wolny rynek – nie ma w sobie zatem nic, co niszczyłoby więzi społeczne, a raczej, skoro opiera się na rozumnej i dobrowolnej współpracy, więzi te umacnia.

Ktoś mógłby jednak odpowiedzieć, że braterstwo i solidarność nie polegają tylko na spokojnym tolerowaniu się, zwłaszcza gdy – tak jak w handlu – jest to korzystne dla obu stron, lecz na bezinteresownej pomocy, kiedy wedle powszechnie przyjętych kryteriów niespecjalnie się ona opłaca. Wszystko to prawda: powinno się wspierać sąsiadów, którym się nie powiodło, pomagać

dzieciom z biednych rodzin oraz przekazywać pieniądze na rozmaite akcje charytatywne. Słowem, powinno się tak dysponować własnymi środkami (pieniędzmi, wolnym czasem itp.), aby przysłużyć się jakimś szczytnym celom. Niekiedy wystarczy po prostu wyciągnąć pomocną dłoń do przypadkowo spotkanego człowieka w opresji. Nie ma wątpliwości, że na tym właśnie polega braterstwo i solidarność, i trudno się tu nie zgodzić ze wszystkimi ruchami lewicowymi, wzywającymi do większej wrażliwości społecznej.

Chodzi o to, że owe ruchy lewicowe najchętniej nadałyby dobroczynności charakter obligatoryjny. Zakładają one, że jeśli nawet rynek jest taki wspianiały i sprawiedliwy, jak przedstawiają to liberałowie, i jeśli nawet prowadzi do zacieśnienia więzi społecznych, to przecież nigdy nie wiadomo, czy człowiek, który może się zachowywać solidarnie, na pewno tak się zachowa. Jeśli natomiast odgórnie nakaże się przekazywanie części majątku na rzecz słabych, biednych i pokrzywdzonych przez los, to – zakładając rzetelność funkcjonariuszy publicznych – można być pewnym, że pieniądze te naprawdę do nich trafią. Wydaje się zatem, że gdy zinstytucjonalizuje się pomoc społeczną, uzyska się nową, lepszą wersję braterstwa – pewną i bezwarunkową solidarność.

Kiedy jednak te nieocenione cnoty społeczne przestają być kwestią osobistego wyboru, a stają się przedmiotem brutalnie egzekwowanego przymusu państwowego, tracą niestety natychmiast swój korzystny charakter. Braterstwo i solidarność ze swej istoty polegają bowiem na szczególnym dysponowaniu posiadanymi środkami. Jeśli ktoś zostaje tych środków pozbawiony, na przykład przez państwowe podatki, to traci

też, co oczywiste, możliwość swobodnego dysponowania nimi. Każda konfiskata, niezależnie od jej celu, zmniejsza zatem poczucie odpowiedzialności obywatela za innych i łagodzi ewentualne wyrzuty sumienia z powodu zaniechania jakiegoś dobrego uczynku. Po cóż którykolwiek kryniczanin miałby się przejmować zamarzającą na śniegu Haliną L., skoro z jego podatków opłacane są wszystkie służby odpowiedzialne za porządek i bezpieczeństwo (także socjalne) w mieście? Pytanie to poraża swym cynizmem, a jednak właśnie taki jest skutek instytucjonalizacji różnych form pomocy: każdy obywatel płacący podatki czuje się relatywnie mniej odpowiedzialny za pomoc bliźnim, niż gdyby tych podatków nie płacił (lub płacił mniejsze).

Teraz zadajmy proste pytanie: dlaczego właściwie ludzie pomagają sobie nawzajem? Czy wynika to wyłącznie z tego, że tak im odpowiada serce? Niezupełnie. Co prawda normy moralne wyniesione z domu mają w życiu wielkie znaczenie, jednak nie można zapominać, że człowiek to istota rozumna, która podporządkowuje się w życiu uniwersalnej regule kija i marchewki: dąży do nagrody i wystrzega się kary. Pomoc bliźniemu czy też nawiązywanie wszelkich więzi społecznych bywa uciążliwością, nieraz niewdzięcznym trudem, pochłaniającym sporo czasu, który można by przecież spędzić znacznie przyjemniej – np. przed telewizorem. A jednak ludzie bywają uczynni, solidarni i braterscy, ale nie tylko z dobroci serca, lecz także powodowani całkiem naturalnym przekonaniem, że warto wyciągnąć do sąsiada pomocną dłoń, bo może później, gdy koło fortuny się odwróci, on odwzajemni się tym samym. Gdy jednak relacje te zostają zaburzone przez interwencję państwa, motywacja do tego, by się

z kimś przyjaźnić, komuś pomagać czy w ogóle dawać coś z siebie, dramatycznie zmniejsza siłę oddziaływania, i to co najmniej z dwóch powodów.

Po pierwsze, po cóż pomagać na własną rękę, skoro zajmuje się tym już państwo? A nawet jeśli robi to na tyle niezdarne, że z dobrego serca chciałoby się mu pomóc, to często przeszkodą nie do pokonania jest po prostu brak środków (pochłoniętych w podatkach przez nienasyconego Lewiatana). Po drugie, szeroko zakrojona pomoc państwa dla wszystkich potrzebujących sprawia, że człowiek przestaje aż tak bardzo obawiać się złej passy życiowej. W końcu może być pewny, że cokolwiek się nie stanie, jakaś komórka państwowa na pewno istnieje tylko po to, aby w takiej właśnie sytuacji przyjść mu z pomocą. A skoro tak, to może nie warto starać się być dobrym sąsiadem, życzliwym współpasażerem czy uczynnym przechodniem?

Z rozważań tych płynie prosty, acz porażająco jednoznaczny wniosek, że im więcej państwa w relacjach międzyludzkich, tym mniej w nich solidarności i braterstwa. Nie powinno to jednak ani specjalnie dziwić, ani wpędzać w rozpacz. Te dwa piękne wzorce zachowań – ostatnio co prawda zwulgaryzowane i spłycone – rodzą się nie tylko w sercu, ale także w umyśle. Człowiek, gdy mu się na to pozwoli, pomaga drugiemu człowiekowi, bo liczy na wzajemność, dowodząc w ten sposób, że to, co prawdziwie mądre, jest także dobre. Jednakże ten sam człowiek, gdy zmusza się go do pomocy i zwalnia z obowiązku myślenia, gnuśnieje i nie zważa na innych, dając dowód na to, jak łatwo nierozumność zamienia się w zło. Braterstwo i solidarność leżą w naturze człowieka myślącego. Trzeba im tylko pozwolić dojść do głosu.

Kultura

„Trzy kolory”: Kieślowski o wolności, równości i braterstwie

Jednym z największych osiągnięć polskiej kinematografii w XX wieku są niewątpliwie „Trzy kolory” Krzysztofa Kieślowskiego. Tytuł cyklu nawiązuje do barw francuskiej flagi i zarazem do symboli hasła Wielkiej Rewolucji: wolności, równości i braterstwa. Nie dziwi zatem, że trylogia Kieślowskiego największą popularnością cieszyła się właśnie we Francji. Paradoks polega na tym, że polski reżyser jest niezwykle krytyczny wobec ideałów Rewolucji, co nie powinno być dobrze odebrane w kraju, gdzie rocznica zdobycia Bastylli jest świętem narodowym.

Cóż takiego jest w trylogii Kieślowskiego, co mogło stać się kamieniem obrazy dla każdego „prawdziwego” Francuza? Otóż „Trzy kolory” to protest przeciwko oświeceniowej wizji stosunków międzyludzkich. W wizji tej, rozpropagowanej przez Rousseau, ludzie mają być wolni, równi i mają być braćmi. Zanim entuzjastycznie podpiszemy się pod tymi hasłami, zapytajmy: Wolni od czego? Równi pod jakim względem? W jakim sensie bracia?

To, w jaki sposób wyobrażali sobie wolność koryfeusze rewolucji francuskiej, jest tematem pierwszego filmu z serii trzech kolorów – „Niebieskiego”. Oto młoda kobieta traci męża i córeczkę

w wypadku samochodowym. Tragedia ta uczy ją, że wiązanie się z ludźmi przynosi tylko cierpienie i zniewolenie. „Będę teraz robić to, co chcę: nic. Nie chcę wspomnień, rzeczy, przyjaźni, miłości ani przywiązania. To wszystko pułapka” – tłumaczy główna bohaterka. Wolność to samotność – tak przed dwoma wiekami twierdził Rousseau. Na tym jednak historia się nie kończy. Kobieta nie jest w stanie żyć w osamotnieniu. Tak naprawdę rozpaczliwie pragnie bliskości i zrozumienia, które znajduje w ramionach drugiego człowieka. Jak to ujmuje sam Kieślowski: „kochanie jest piękne, ale kochając natychmiast uzależniasz się od człowieka, którego kochasz. Robisz to, co on lubi, mimo że samemu tego nie lubisz. Mając już to piękne uczucie i człowieka, którego kochasz, zaczynasz robić wiele rzeczy przeciwko sobie samemu. Tak rozumieliśmy problem wolności w tych trzech filmach”.

„Biały”, kolejny film serii, jest komentarzem Kieślowskiego na temat równości. Młody mężczyzna, Polak imieniem Karol, wyjeżdża do Francji w celu zrobienia kariery. Nieznajomość języka i realiów tego kraju sprawiają, że ponosi porażkę. Rozgoryczony, nie jest nawet w stanie odnaleźć się w łóżku swojej pięknej żony. Kobieta porzuca go i upokarza.

Karol Lew Pogorzelski

Karol w trakcie rozprawy sądowej pyta retorycznie: „a co z równością” i w tym momencie pojmuję, że nie o to chodzi, aby był równy, ale o to, ażeby był lepszy – wart swojej żony. Innymi słowy, ludzie nie tylko nie są równi, ale także nie chcą być równi. Pragną osiągać coś w życiu i w konsekwencji stawać się lepszymi.

„Czerwony”, ostatni obraz nakręcony przez Kieślowskiego, stanowi kłamrę spinającą całą serię. Koncentruje się on na braterstwie. Jest ono świadomie przeciwstawiane chrześcijańskiej miłości bliźniego. Różnicę między nimi dobrze ilustruje scena pojawiająca się w każdym z filmów składających się na „Trzy kolory”. Występuje w niej stara przygarbiona kobieta, która z wielkim trudem usiłuje wrzucić szklaną butelkę do wysokiego pojemnika na odpadki. Mimo że wokół

jest wielu ludzi, nikt nie podchodzi, by jej pomóc. Braterstwo tych osób polega na tym, że nie przeszkadzają kobiecie, nie naruszają jej wolności. Tylko Valentine, główna bohaterka „Czerwonego”, idzie o krok dalej i łamie swoistą zmowę obojętności – pomagając staruszce przemienia postawę braterstwa w miłość bliźniego.

Krzysztof Kieślowski w swojej trylogii prezentuje wyjątkowo przewrotne rozumienie ideałów Wielkiej Rewolucji. Wolność – mówi – jest warta najwięcej wtedy, gdy z niej dla kogoś dobrowolnie rezygnujemy. Równości między ludźmi nie tylko nie ma, ale też nikt jej na dobrą sprawę nie pragnie. Braterstwo zaś jest tylko zakamuflowaną postacią egoizmu.

Miscellanea

Erik Maria Ritter von Kuehnelt-Leddihn (1909-1999) – austriacki arystokrata, historyk idei, pisarz, zajadły krytyk demokracji.

Tekst ukazał się po raz pierwszy w numerze 1 (18) 1993 czasopisma „Stańczyk” w tłumaczeniu Mariusza Krzyszkowskiego. Za uprzejmą zgodę na przedruk i naniesienie drobnych poprawek dziękujemy Panu Tomaszowi Gabisiowi, redaktorowi naczelnemu „Stańczyka”.

Jakobineum

Schilding, małe heskie miasto, położone na uboczu i trudne do odnalezienia na mapie, wzbudziło powszechne zainteresowanie z powodu wyboru Marka Demolewickiego na burmistrza i triumfu jego Fundamentalno-Demokratycznej Partii Miejskiej (FDPM). Opozycji pod wodzą doktora Ciemnogrodzkiego udało się zdobyć zaledwie 10% głosów. Pan Demolewicki uzyskał dyplom z ekonomii na uniwersytecie w Bremie, a ponieważ reakcyjno-kapitalistyczni przemysłowcy i dyrektorzy banków

nie chcieli zatrudnić tego rokującego wielkie nadzieje człowieka w dzinsach i tenisówkach, pracował przez wiele lat w wędrownym cyrku w charakterze muzykującego kłowna. Był on jednak wybitnym mówcą, a bujna czupryna z ondulacją i bródka à la Henryk IV gwarantowały mu wierność żeńskiej części elektoratu. Wielkim problemem, przed którym stanęła rada gminy, nie było sfinansowanie nowego szpitala, zresztą już zapewnione, lecz jego obsada personalna.

Demolewicki, który wkrótce zniósł tytuł burmistrza jako „niezgodny z duchem czasu” i zastąpił go skromnym określeniem „kierownik”, powiedział na forum rady gminy:

„Żadna forma państwa nie była w historii skuteczniejsza niż demokracja, co jest prawdą i dzisiaj. Gdzie żyje się lepiej, w Szwajcarii czy w Paragwaju? W Mongolii czy w USA? W Austrii czy w Iranie? W demokracjach życie człowieka jest bardziej swobodne, przyjemniejsze, beztrudne. Zasadą demokracji jest równość i władza większości. 18-letni zamiatacz ulic i sześćdziesięcioletni profesor prawa państwowego są równi przed urną wyborczą. Pięciu discjockey-ów uczestniczących w wyborach znaczy więcej niż czterech profesorów gimnazjalnych. Prawa i przywileje należą do przeszłości, zasługującej na potępienie. Niezależnie od tego, co poseł dokonał, albo czego zaniechał (nie mamy już na szczęście do czynienia ze społeczeństwem, w którym liczą się osiągnięcia) czerpie swój mandat poselski ze źródła wszelkiej mądrości, czyli mas ludowych. Lecz, moi panowie, aby móc prowadzić samochód, nauczać w szkole, robić zdjęcia rentgenowskie, plombować zęby, sądzić przestępcę, bądź zakładać wodociąg potrzebne są egzaminy, dyplomy i świadectwa, licencje, urzędowe zezwolenia, atesty, doświadczenie, studia, pozwolenia. Wszystko to są zbędne pozostałości epoki feudalizmu, czysto elitarny nonsens, autorytarny kram, biurokratyczne kretyństwo, arystokratyczne uprzedzenia, resztki antyludowego wychowania.

A teraz przejdźmy do naszego cudownego, nowego szpitala, który nazwiemy Jakobineum. Będzie to świetlany przykład zakładu respektującego fundamentalną demokrację. »Uzdrowiciele« będą wybierani demokratycznie (nie

chcemy mieć do czynienia z ekskluzywnym stanem lekarskim) i tak też będzie zarządzany cały kompleks. Skończy się arogancja ordynatorów, doktorów medycyny, naczelników lekarzy, magistrów, dyplomowanych pielęgniarek i cała ta XIX-wieczna błazenada. Już Marks powiedział, że w każdym z nas skrywa się potencjalny malarz, polityk, myśliciel, rolnik, rybak, inżynier, rzeźbiarz i nauczyciel. Trocki twierdził nawet, że w państwie socjalistycznym – a takie jest właśnie spełnieniem demokracji – będzie się roiło od Platonów, Kantów, Newtonów, Edisonów i Galileuszów.

A kto będzie u nas decydował, jacy ludzie będą w naszym szpitalu zapisywać lekarstwa, podejmować interwencję chirurgiczną, prowadzić gimnastykę leczniczą, ustalać diety albo zakładać opatrunki? Oczywiście wyborca! Jeśli minister spraw zagranicznych nie dysponuje wiedzą fachową ani znajomością języków, a prezydent nie wie, gdzie leżą poszczególne kraje, to chirurgowi nie potrzebna znajomość anatomii. Odpowiedzialnym ludziom wystarczy zdrowy rozsądek, dobra wola, inteligencja, wycucie i intuicja. Wszystkie inne wymagania trącą elitarnym antydemokratyzmem, a ten wreszcie przewyciężyliśmy. Każdy wyborca w naszym mieście otrzyma formularz, na którym są zestawione funkcje personelu szpitala, i wpisze przy każdej pozycji nazwisko i adres. To jest, moi panowie, prawdziwa demokracja. Oto prawdziwy postęp!

Weźmy najpotężniejszy kraj na ziemi, Stany Zjednoczone. Co też studiowali przed objęciem urzędu taki Roosevelt, Truman, Johnson czy Carter? Nic, zupełnie nic! Wiedza sprawia tylko, że człowiek staje się nadęty, wyniosły i przemądrzały, lecz naród w instynktownym poczuciu pewności rozstrzyga zawsze

prawidłowo. On czuje, że jeśli Bóg przyznaje komuś urząd, to obdarza go także niezbędnym rozumem. A więc precz ze zidiociałymi fachowcami! Tak jak w naszych przedsiębiorstwach, tak i w naszym Jakobineum będzie wewnętrzna demokracja. Ojciec Skurczek, wielki teolog »wyzwolenia«, już od lat poświęca się walce z kompleksami i frustracjami sprzętaczek, pardon, konserwatorek pomieszczeń, dozorczyń, gospodyń, a przecież obecnie w gimnazjach woźny ma takie samo prawo weta jak dyrektor. W naszym szpitalu będą mogły kolektywnie podejmować decyzje także praczki, elektrycy, czyściciele okien, palacze, instrumentariusze i kucharki. Jeśli coś jest dobre, to również więcej tego dobra jest lepsze, a jego pełnia jest najlepsza. Skoro więc wszyscy jesteśmy przekonani, że demokracja jest dobra, to musi być ona zastosowana we wszystkich dziedzinach życia, i naturalnie nie tylko w naszym wspaniałym Jakobineum, lecz także w rodzinie, przemyśle, rolnictwie, w Kościele i w armii. Jeśli społeczeństwo jest piramidą, to odtąd nie jest miarodajny jej wierzchołek, lecz podstawa. Z dołu do góry, a nie z góry na dół – to jest nasz okrzyk bojowy”.

Entuzjazm był wielki. Wybory personelu były bezpośrednie i tajne, jednak doszło przy tym do kilku niezbyt przyjemnych niespodzianek. Wbrew oczekiwaniom kierownika okazało się, że wyborcy (prawdopodobnie wskutek autorytarnego wychowania w dzieciństwie) nie wierzyli do końca w zalety amatorstwa. Ludzie po prostu nie mogli się przemóc, aby ściśle oddzielać wyuczony zawód, popularność i zakres zadań. Na chirurga wybrano bez wyjątku rzeźników, do szpitalnej apteki dwóch handlarzy warzyw, czyściciele kanałów zostali internistami, a fotooptycy okuli-

stami. Grabarze zostali dermatologami, a trzech szewców trafiło do ortopedii (wybór na szefa ginekologii znanego w Schilding Don Juana, młodzieńca z ondulowaną grzywą, w skórzanej kurtce i z kolczykiem w uchu – „znam się na kobietach”, jak sam oznajmił – wywołał jednak protesty kilku małżonków). Kierownik szczególnie ucieszył się z wyboru usuwacza nagniotków na szefa stomatologii, jednak był rozczarowany, gdy ten nie chciał przyjąć stanowiska, bo za wszelką cenę pragnął zostać okulistą. W trakcie tych imponujących wyborów całkiem zapomniano o pracownikach administracyjnych. Ponieważ nie było ich na kartach do głosowania, więc musiano, chcąc nie chcąc, przyjąć bez skreśleń tych ze starego szpitala powiatowego Świętego Łukasza.

Społeczność miasta była z początku ogromnie zadowolona. Jedynie Partia Konserwatywna pod wodzą dr. Ciemnogrodzkiego prorokowała niepowodzenie. W tym miejscu trzeba dodać, że już w końcu pierwszego roku wydarzyło się coś, co zresztą w świecie demokracji jest akceptowane bez zastrzeżeń: powstały nowe partie. Najpierw wyłoniły się frakcje: homeopatyczna, przyrodo-lecznicza, akupunktury oraz akupresury, co spowodowało niebezpieczne bijatyki, które toczono nie tylko na termofory, baseny i kule, ale także na instrumenty chirurgiczne.

„Demokracja fundamentalna”, oparta całkowicie na popularności, stała się wkrótce przedmiotem debat, o których jednak lokalna prasa całkowicie milczała z lojalności wobec kierownika i dyrektora szpitala, dawnego właściciela zakładu dezynsekcji. Niektórych operacji karygodnie zaniechano, ponieważ strajkował przeciwko nim personel pralni. W Jakobineum nie chciano

żadnej dodatkowej pracy, a protestowano oficjalnie przeciwko chirurgowi, pewnemu rzeźnikowi, który przedtem specjalizował się w kiełbasach, ale nie potrafił rozróżnić prostych chorób. Do tego musiał w trakcie operacji mieć stale rozłożony przed sobą schemat ciała ludzkiego z encyklopedii Brockhousa. Pielęgniarki i siostry asystujące przy operacji też były do niczego, ponieważ powołano je z osławionego salonu masażu. Rzut oka na ich stałych wyborców wyjaśniał zresztą wszystko.

Nielubianych chorych odsyłano do domu, by opiekowała się nimi rodzina, a powszechnie lubiani pacjenci urządzali się na miejscu po domowemu. Ich odejściu zapobiegały plebiscyty. Powszechnie upodobano kawior i przepadano za pączkami, co zagrażało kuracji żołądkowej. Na gorzałkę wymagana była jednak recepta, co uznano za przejaw biurokratyzmu i autorytaryzmu.

Naturalnie także i w tej fundamentalnej demokracji nie każde życzenie było spełniane, choć codziennie wielokrotnie głosowano nad tym lub owym. W salach chorych mniejszość musiała najdemokratyczniej podporządkować się większości: dopiero po pierwszej w nocy wyłączano bardzo głośne telewizory kolorowe – ku uciesze większości i rozpaczyci mniejszości. Panowała w dodatku wolnościowa demokracja całkiem w stylu młodzieżowej rewolucji z 1968 roku z jej permissywnymi ideałami, które w Jakobineum ochocho kultywowano. Widywało się na przykład w salach chorych wózki ze wszystkimi możliwymi i niemożliwymi specyfikami leczniczymi, które pojawiały się tam, aby z nich dowolnie korzystać (upadł natomiast pomysł urządzenia baru „Absynt” przy oddziale psychiatrycznym – tylko 49% było za). Chorych oczywiście nie roz-

dzielano według płci, bo w końcu szpital nie jest żeńskim klasztorem. Także siostry nie były zakonnice i nosiły białe, nakrochmalone minispódniczki. Nic dziwnego, że wielu pacjentów odmawiało powrotu do domu. Nieśmiała propozycja, aby w tym zawodzie zatrudnić tylko członkinie Światowego Związku Lesbijek Feministek, nie znalazła ostatecznie zrozumienia.

O Jakobineum pisały wszystkie gazety w kraju i za granicą, a nawet w ZSRR na fali głośności. Niemieckie pisma ilustrowane – przede wszystkim „Stern” – zamieszczały o nim reportaże, a kierownik, podobnie jak arcybiskup Tutu, został zgłoszony do nagrody Nobla (czarny rewolucjonista z RPA miał jednak więcej szczęścia). Ponieważ w Jakobineum występowało przeciwko wszelkim formom charyzmatycznego promieniowania (na otoczenie – przyp. red.), z rozpędu pozbyto się także pracowni rentgenowskiej, za to stworzono luksusowy oddział dla chorych na AIDS, którzy cieszyli się szacunkiem w postępowym towarzystwie jako mężczyźni purytańskiej fali dyskryminacji (nie milkła plotka, że Kościół wspierał tę chorobę w wyrafinowany sposób, a wirus został wyhodowany w tajnym laboratorium Świętego Oficjum w Rzymie przez rasistowskich duchownych z Opus Dei i początkowo eksportowano go tylko do Afryki).

W piwnicy znajdowała się niezwykle nowoczesna ludzka rzeźnia, w której z woli kochanych mam pospiesznie zabijano nienarodzone dzieci zanim zdążyły wydać pierwszy krzyk. W przyjaznym komforcie uśmiercano też, na ich własną prośbę, starszych ludzi, będących u kresu swej ziemskiej wędrówki. Szef tej „Stacji A i E” nazywał się August Potniak i był wcześniej hyclem. Tutaj dzia-

łano wyjątkowo szybko i sprawnie, ponieważ w 25-godzinnym tygodniu pracy nie można było marnować czasu.

Trzeba przyznać, że mieszkańcy Schliding byli nieco zaniepokojeni sytuacją w szpitalu, ale kierownikowi i dyrektorowi udało się uspokoić wzburzone umysły. Wykorzystując ich wzruszającą historyczną ignorancję wyjaśnili, że demokracja jest najnowocześniejszą formą państwa i społeczeństwa, toteż żaden „wykształcony” człowiek nie śmie się przeciwstawiać ani jej, ani tym bardziej demokracji fundamentalnej, która jest supernowoczesna, a to, co supernowoczesne jest zawsze wspaniałe. Sposób funkcjonowania Jakobineum da się całkowicie uzasadnić duchem czasu, tak samo jak udział sprzątarek w kierowaniu bankami i uniwersytetami, kontrola żołnierzy nad oficerami, robotników nad dyrektorami fabryk, uczniów nad nauczycielami, gimnazjalistów nad ich profesorami, a więc kontrolowanie przez większość mniejszości. Naturalnie ten postępowy program nie jest jeszcze do końca zrealizowany, ale wszystko jest na najlepszej drodze. Kontrolować, nawracać, prowadzić, rozwijać winni liczniejsi: więźniowie strażników, podróżni maszynistów, autorzy (z ich „prawem do pracy”) wydawców, malarze marszandów i muzea, kraje Trzeciego Świata narody przemysłowe, młodzież seniorów, a analfabeci uczonych. Niech mniejszość służy większości, a nie odwrotnie. To, co odwrotne, jest po prostu całkowicie niedemokratyczne, a to, co jest niedemokratyczne, należy wytępić.

Myślmy tak przecież wszyscy – czyż nie? W ten sam sposób myślano w latach: 1789, 1848, 1871, 1917, 1918, 1933 i 1945 – ilekroć „lud” dochodził do głosu, i to zawsze z dobrym skutkiem, ku pożytkowi oczarowanej znacznej więk-

szości w mieście i na wsi. Tak samo myślał wielki kierownik Schilding, dumny ze swego Jakobineum, ale, niestety, razem z nim poniósł klęskę. Jak to często w historii bywa, gdy nadeszła godzina prawdy, mimo największej ofiarności radykalnych grup fundamentalistów w mieście, zło obnażyły kwestie finansowe. W przewrotny sposób miało to związek z miejskim cmentarzem. Dzięki szpitalowi powiększał się on we wszystkich kierunkach, szczególnie ku rzece, toteż zabrakło pieniędzy na zakup dalszych terenów (Związek Nudystów, który usadowił się nad rzeką, żądał 10000 DM za 1 m²!). Śmiertelność w Jakobineum była na koniec tak duża, że musiano wybudować taśmociąg łączący szpital z kostnicą na cmentarzu. Przyczyny katastrofy, które w wywiadzie dla „Spiegla” podał kierownik, były w części prawdziwe. Pan Świntuszyński, szef oddziału neuropsychiatrycznego, który wcześniej prowadził kino, gdzie wyświetlano nieprzyzwoite filmy, roztrwonił wielkie sumy przeznaczone na gumowe ściany i kaftany bezpieczeństwa projektowane u Diora. Jednak, jak dowodził kierownik, problem cmentarza polegał na czymś zupełnie innym: był on za mały, gdyż w Schilding odbywały się regularnie rozgrywki piłkarskie, po których kibice zwykli rozbijać sobie nawzajem czaszki, a ofiary musiały być pogrzebane i zajmowały coraz więcej miejsc drogim zmarłym z Jakobineum. Lecz właściwie, konkludował, także i ten problem miał swoje pozytywne aspekty. Ostatecznie trzeba przecież myśleć społecznie, a „sytuacja” na cmentarzu istotnie przyczyniła się do zwalczania bezrobocia – wśród grabarzy, kamieniarzy, trumniarzy i wytwórców strojów trumiennych nie było bezrobotnych! Nawet Kościół zara-

biał całkiem niezłe na pochówkach. Duchowni musieli pracować po godzinach.

Kierownik ustąpił jednak ze stanowiska i wrócił do Bremy, gdzie postanowił zrobić doktorat z socjologii, psychologii i nauk politycznych. Lekarze, pielęgniarki, aptekarze, rentgenolodzy itd. ściągali do Jakobineum, gdzie zdjęto piękny portret Robespierre'a i zawieszono obraz przedstawiający św. Łukasza. „Uzdrowiciele” wrócili do swoich sklepów mięsnych, handlu warzywami, dyskotek i salonów masażu. Niektórzy odczuwali całkowitą ulgę, innym było żal swojej pracy w szpitalu. Pan Świnтусzyński zmienił strategię i teraz pokazywał ostrzejsze porno, a pan Potniak, stary hycel, łapał więcej psów i kotów z bezwzględnością, do której wcześniej przywykł.

Na tym zakończył się niezwykle interesujący eksperyment. Czy wyciągnięto z niego zasadnicze wnioski? Naturalnie nie!

R E K L A M A

Fijor
PUBLISHING

Polecamy książki Ludwiga von Misesa, które można kupić w wydawnictwie Fijor Publishing:

Planowany chaos, Biurokracja, Ekonomia i polityka

www.fijor.com

● **KoLiber.net**

● **KoLiber.net**